

Arkadiusz Kalin

Odzyskiwanie Ziem Odzyskanych – cdn.?

Kryzys migracyjny, który ogarnął obecnie Europę, i związana z tym eskalacja ksenofobii wykorzystywanej na użytek lokalnej polityki są dobrą okazją, by przypomnieć o zjawisku największych migracji XX-wiecznych w Europie, a zapewne też w całej jej historii. Rozpoczęte już w czasie wojny masowe i przymusowe przemieszczenia ludności przebiegały w największym natężeniu przez kilka pierwszych lat po zakończeniu wojny, ale proces ten trwał ponad dekadę powojenną i objął kilkanaście milionów przesiedleńców. Nie był to problem tylko polsko-niemiecki, gdyż dotyczył również kilku milionów wysiedlanych Niemców z terytorium Czechosłowacji i Węgier, a także przesiedleń Ukraińców, Białorusinów i Litwinów z Polski poza jej nową wschodnią granicę – do republik ZSRR; z kolei z Kresów Wschodnich oprócz Polaków migrowali również Żydzi, Tatarzy, Cyganie, Ukraińcy, Łemkowie, Bojkwowie i tak dalej. Było to więc zjawisko dotyczące wielu narodowości w znacznej części Europy Środkowo-Wschodniej.

Idea „odzyskania” oznaczała puryfikację etniczną: to nie tylko fizyczne wysiedlenia, ale i działania „repolonizacyjne” polegające na usuwaniu wszelkich znaków konkurencyjnej kultury i zastępowaniu pamięci kulturowej tych ziem preparatem polskości, czemu służył trzon idei Ziem Odzyskanych – mit piastowski, który zarazem stał się mitem etnogenezy, narodowego początku. Towarzyszyła temu przez dziesięciolecia dezawuacja kontrapamięci – Niemców wysiedlanych od 1945 roku: jak zauważył kiedyś wybitny znawca relacji polsko-niemieckich Hubert Orłowski, odzyskanie wykluczało utratę, ponieważ było historycznie i moralnie słuszne. „Odzyskanie” ziem zachodnich uniemożliwiało snucie analogii pomiędzy losami ekspatriantów z polskich i z niemieckich Kresów. Ziemie Odzyskane stały się dla władzy testem

tak zwanego *nation-building* – tworzenia monoetnicznego państwa i jednolitej tożsamości narodowej, dokonywanego między innymi przy pomocy określającej narodowo weryfikacji binarnej (Polak – Niemiec), której poddani zostali zarówno przesiedleńcy, jak i ludność miejscowa, często o niejednoznacznej samoidentyfikacji etnicznej lub o tożsamości definiowanej głównie przez religię lub region. W rzeczywistości na nowych ziemiach tworzył się częstokroć osadniczy tygiel kulturowy i etniczny, sytuację tę miała maskować jednak nacjonalistyczna ideologia Ziem Odzyskanych. I choć została ona podważona już przez list biskupów polskich do niemieckich w 1965 roku czy przez słynny esej Jana Józefa Lipskiego opublikowany w drugim obiegu na początku lat 80. pod tytułem *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy (uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków)* i – wydawałoby się – odesłana została do lamusa historii po 1989 r., to jest z nią do tej pory pewien problem...

Problemy nie tylko nazewnicze

Refleksja naukowa nad fenomenem idei Ziem Odzyskanych zyskała nowe oblicze oczywiście po przełomie roku 1989, choć w badaniach socjologicznych, politologicznych i historycznych wiele wartościowych prac powstawało już wcześniej, stąd pewna ciągłość tradycji naukowej i szybkie rozpoznanie ideologicznego oblicza „odzysku” ziem poniemieckich. Znacznie dłużej przyszło poczekać na ogólniejsze syntezy (w tym uwzględniające literaturę piękną) kreślące krajobraz kulturowy terytoriów nazwanych po wojnie Ziemiami Odzyskanymi, ukazujące znaczenie procesu powojennego zasiedlenia nowych ziem – pojawiły się one dopiero w ostatnich latach. Szczególnie ważną pozycją, także w kontekście demitologizacji optymizmu ideologii zasiedlania ziem poniemieckich, była książka historyka młodszego pokolenia, Marcina Zaremby, pod sugestywnym tytułem *Wielka trwoga*¹. Publikacja ta prezentuje apokaliptyczny (a precyzyjniej: postapokaliptyczny) wizerunek pierwszych lat powojennych, co zresztą podkreśla autor: trzej jeźdźcy apokalipsy, nawiedzający wówczas Polskę, to głód, drożyzna i choroby zakaźne, ale dopust ten uzupełniały trauma wojenna, polityka terroru i strachu, wszechobecny szaber i szerzący się bandytyzm, w tym zdemoralizowanych różnych grup wojskowych (co oczywiście nie mieści się w obecnej mityzacji „żołnierzy wyklętych”), społeczne poczucie tymczasowości czy fobie etniczne, skutkujące przemocą, szczególnie wobec Żydów i Niemców. Ten wizerunek lat powojennych może wydawać się jednostronny, jednakże autor we wstępie podkreśla, że „wielka trwoga” jest rewersem radości z odzyskania wolności i końca wojny oraz poczucia nadziei na lepsze jutro. Co więcej – dodajmy – w przeciwieństwie do entuzjazmu końca wojny, ten ciemny obraz ówczesnego życia przez dziesięciolecia podawany był starannej cenzurze, eksponowano co najwyżej zniszczenia dokonane przez Niemców (ale oczywiście nie przez Rosjan, którzy byli głównymi sprawcami dewastacji wielu miast na ziemiach poniemieckich, już po ich „wyzwoleniu”). *Wielka trwoga* może stanowić wzór jednocześnie



¹ M. Zaremba, *Wielka trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Kraków 2012.



publikacji naukowej i narracji przystępnej dla szerszego odbiorcy, ukazującej jednak całą komplikację problematyki niby znanej, ale nigdy wcześniej nieukazanej w tak syntetyzującym i sugestywnym ujęciu². Jest to bowiem książka przede wszystkim o ludzkich emocjach, w dodatku skrajnych – strachu i przemocy – a zatem o dużym potencjale odbiorczej perswazji. Swego rodzaju kontynuacją pracy historyka, ukazującą tę problematykę w indywidualnych perspektywach, stała się reporterska książka Magdaleny Grzebałkowskiej pod tytułem *1945. Wojna i pokój*, poświęcona już w większym stopniu rzeczywistości osadnictwa na ziemiach poniemieckich, ponieważ inspiracją była historia rodzinna autorki – przesiedleńców na Ziemi Odzyskane³.

Polemikę z powojenną ideologią przesiedleń i optykę jednostkowych losów ludzkich próbowała również przedstawić w niedawno wydanej książce Beata Halicka⁴. Autorka, dystansując się od nacjonalistycznej idei Ziemi Odzyskanych i poszukując nazwy oddającej codzienne doświadczenie tamtych czasów, sięga po formułę bliską przywołanemu powyżej określeniu z książki Zaremby „wielka trwoga”, a mianowicie po popularny po wojnie mit polskiego Dzikiego Zachodu. Mimo w miarę skromnie zapowiadanego w podtytule obszaru i okresu, którym książka Halickiej jest poświęcona, stanowi ona projekt ambitny – jest w istocie wykładem historii, kultury, socjologii, literatury i antropologii sięgającym od przedwojnia po dziesięciolecie po 1945 roku, skoncentrowanym na problemie powojennych migracji ludności, z wieloma wątkami pobocznymi. Autorka próbuje pogodzić przy tej okazji dwie konkurencyjne z reguły narracje narodowe – polską i niemiecką – akcentując wspólną płaszczyznę traumatycznego doświadczenia. Również w planie naukowym książka stanowi próbę komparatystycznego ujęcia tematyki polskich kresów zachodnich, będących jednocześnie dawnymi niemieckimi kresami wschodnimi, a więc krytycznego zestawienia niemieckich tak zwanych badań wschodnich (*Ostforschung*) z polską „myślą zachodnią”. Oba te nurty badawcze, rozwijane od XIX wieku, komunikują się ze sobą dopiero od ostatniego ćwierćwiecza, wcześniej nierzadko oznaczały podporządkowanie realiów wymogom propagandy – nazistowskiej, a potem narracji „wypędzonych” w przypadku niemieckim oraz ideologii nacjonalistycznej i zarazem komunistycznej w wersji polskiej. Wielka historia łączy się w książce Halickiej ze wspomnieniowymi mikrohistoriami, oddającymi egzystencjalne realia, historyczną presję, której poddawana była jednostka w wielkomocarstwowym planie wielkiej zmiany geopolitycznej.

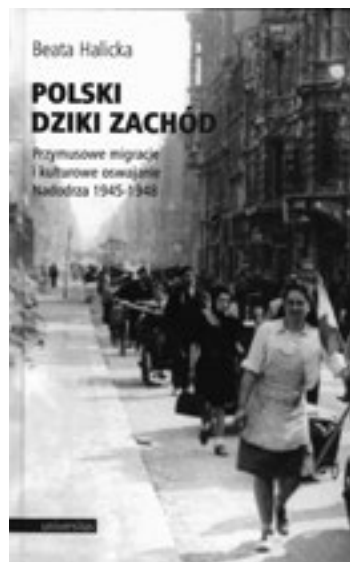
Niestety wartość tej publikacji obniżają liczne błędy różnego rodzaju. Już pobieżny jej ogląd pozwala się zorientować, że szacowne wydawnictwo Universitas nie zamieściło,

² Oczywiście można wskazać choćby głośny *Strach* Jana Tomasza Grossa, lecz książka ta poświęcona jest tylko wycinkowi tej problematyki, powojennemu antysemityzmowi.

³ M. Grzebałkowska, *1945. Wojna i pokój*, Warszawa 2015.

⁴ B. Halicka, *Polski Dzikie Zachód. Przymusowe migracje i kulturowe osvajanie Nadodrza 1945–1948*, przekł. A. Łuczak, Kraków 2015.

mimo że jest to tłumaczenie, tytułu niemieckiego pierwodruku⁵. Część omyłek może mieć zatem charakter wtórny, wynikać z niedostatków przekładu i korekty. Najbardziej kuriozalnym lapsusem jest chyba rozszyfrowanie na pierwszej stronie *Wprowadzenia* skrótu PRL jako Polskiej Republiki (sic!) Ludowej. Na marginesie: autorka używa określenia PRL w odniesieniu do realiów państwa od 1945 roku i jest to często spotykany skrót myślowy na określenie powojennej Polski do przełomu roku 1989, używany także w niniejszym tekście, ale w książce o ambicjach historycznych, dotyczącej pierwszych lat powojennych, warto byłoby adnotować, że nazwa ta funkcjonowała dopiero od 1952 roku – w czasach przez Halicką opisywanych była to bowiem jeszcze Rzeczpospolita Polska. Błędy znajdziemy również na dołączonych mapach ilustrujących przemiany terytorialne, które przedstawione zostały z licznymi anachronizmami, na przykład na mapie prezentującej granice z 1931 roku demarkacje oznaczono według stanu powojennego, a na innej zaprezentowano podziały administracyjne w Polsce z roku 1950, a nie z 1946, jak głosi podpis.



Praca Halickiej z założenia miała przekroczyć dyskursy nacjonalistyczne – polski i niemiecki – ale przecież była pierwotnie skierowana do odbiorcy niemieckiego; w polskiej perspektywie książka niestety wiele traci na swej oryginalności, choć to nadal ambitna próba pewnej syntezy. W przypadku przynajmniej polskiego czytelnika (podkreślam – zaznajomionego z tematem, ale takich miłośników historii ziem poniemieckich, regionalistów są setki, a może tysiące) ta próba rewizjonistycznego oglądu dyskursu polskiego i niemieckiego wypada nieprzekonująco, wiele tu uproszczeń, odkrywania prawd już dobrze znanych i wcześniej szeroko opisanych w Polsce – przeważa bowiem jednak optyka niemiecka, co zresztą nie oznacza dawnego etnocentryzmu. Być może ten punkt badawczego spojrzenia sprawia, że autorka pominęła wiele wartościowych polskich publikacji, szczególnie z ostatnich lat, choć bibliografia rejestruje pozycje nawet z 2015 roku. Brak tu zatem choćby monumentalnej rozprawy Joanny Szydłowskiej, która pozornie zajęła się dość wąskim, regionalnie zorientowanym zagadnieniem literatury polskiej na powojennych terenach Warmii i Mazur⁶, co zresztą stanowi świetne uzupełnienie książki Halickiej, która tym regionem jako jedynym z Ziemi Odzyskanych się nie zajmuje. W rzeczywistości, w przypadku książki Szydłowskiej, powstała próba znacznie szerszej syntezy kulturowej. Literatura, która miała być głównym przedmiotem tej książki, została przytłoczona przez rozległe konteksty historyczno-społeczne, stała się tu niejako tylko dodatkiem czy ilustracją do drobiazgowej rekonstrukcji sytuacji kulturowej przyłączonych po wojnie ziem północnych. Autorka tej bogato udokumentowanej publikacji prezentuje interesujące rozpoznania problemu, jednakże – poza literaturą

⁵ Polska autorka związana jest z Europejskim Uniwersytetem Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, książka ta to tłumaczenie publikacji w języku niemieckim, której podstawą stała się obroniona w 2012 roku przez Beatę Halicką na Viadrinie praca habilitacyjna, wydana jako *Polens Wilder Westen. Erzwangene Migration und die kulturelle Aneignung des Oderraumes 1945–48*, Paderborn 2013.

⁶ J. Szydłowska, *Narracje pojałtańskiego Okcydentu. Literatura polska wobec pogranicza na przykładzie Warmii i Mazur (1945–1989)*, Olsztyn 2013.

– odnajdziemy tu też obszerne analizy ówczesnej publicystyki, filmu dokumentalnego i fabularnego, materiałów propagandowych, zjawiska regionalizmu i ruchu krajoznawczego i tym podobne, a także całej sfery instytucjonalnej z tym związanej, na czym jednak wyraźnie ucierpiała wyrazistość prezentacji materiału literackiego. To raczej kompleksowe opracowanie powojennej kultury Warmii i Mazur, a szerzej Ziem Odzyskanych, aniżeli tylko literaturoznawcze ich ujęcie.

Kluczem interpretacyjnym fenomenu Ziem Odzyskanych Szydłowska uczyniła kategorię pogranicza, niezwykle popularną, wręcz modną po przełomie roku 1989, bowiem pogranicze jako konstrukt opisowo-interpretacyjny stało się jedną z uniwersalizujących kategorii współczesnej humanistyki, oferując ujęcie interdyscyplinarne. Nie wchodząc w analizę sposobu wykorzystania problematyki pogranicza w książce Szydłowskiej, chciałbym zwrócić uwagę raczej na drugą tytułową propozycję nazewnictwa – „pojałtański Okcydent”. I tu istotna, dłuższa dygresja. W badaniach po 1989 roku widać wyraźne dystansowanie się od ideologicznego określenia Ziemie Odzyskane, zwykle zaopatruje się je w dystansujące oznaczenia: cudzysłów lub poprzedzający skrót „tzw.”. Nazwa ta, lansowana w pierwszych latach powojennych, była nominacją oficjalną, między innymi istniało Ministerstwo Ziem Odzyskanych (z Gomułką na czele), i zyskała też na długo akceptację społeczną, stając się znakiem rozpoznawczym problematyki. Oczywiście pojawiały się ironiczne przeróbki w stylu „ziemie wyzyskane” czy „ziemia obiecana” (jak np. w twórczości Zygmunta Trziszki). W okresie „odwilży”, po roku 1956, Ziemie Odzyskane zastępowano określeniem Ziemie Zachodnie i Północne (lub w skrócie Ziemie Zachodnie), jako nazwą bardziej neutralną, ale propagowaną także w związku z oficjalną, choć fałszywą tezą o pełnej integracji tych terytoriów z resztą kraju, czyli o zakończeniu ich „odzyskiwania”. I formuła ta stała się obecnie – jako oparta na wyróżnieniu geograficznym – najczęściej stosowaną w piśmiennictwie historycznym czy socjologicznym. Niemniej jednak jest to nadal cytat idiomu epoki, w pewnym stopniu nacechowanego propagandowo. W związku z tym w najnowszych opracowaniach, szczególnie tych tu przytaczanych, autorzy poszukują określeń odmiennych, które przy okazji ujawniałyby jakąś kulturową wartość naddaną. Jednym z pierwszych zamienników, dobrze znanym z tradycji, stały się „Kresy Zachodnie” (jak choćby w monografii literatury polskich ziem zachodnich Haliny Tumolskiej pod tytułem *Mitologia Kresów Zachodnich w pamiętnikarstwie i beletrystyce polskiej 1945–2000*). Nazwa Kresy Zachodnie pojawiła się już w XIX wieku, szczególnie za sprawą powieści Jana Zachariasiewicza *Na kresach*, dziejącej się w Wielkopolsce i dotyczącej walki już nie orężem, jak wcześniej na Kresach Wschodnich, lecz tej ekonomicznej z naporem germańskim. Pojęcie to spopularyzowały środowiska narodowe w międzywojniu, miało oznaczać antyniemieckie przedmurze. Określenie to jednak nie było używane przez komunistyczną propagandę – zapewne z tego powodu, że znanadto przywoływałoby pamięć Kresów utraconych i przeszczerpienie kultury wschodniokresowej na ziemie zachodnie, a także wprost odsyłało do słownika przedwojennej endecji. Do nazwy Kresy Zachodnie próbowano powrócić po roku 1989, pozostała ona jednak raczej wyszukany stylistycznie określeniem nawiązującym do tradycji. Stało się tak zapewne dlatego, że pojęcie to niesie ze sobą podobny ładunek emocjonalno-ideologiczny jak Kresy Wschodnie, a ten – szczególnie nacjonalistyczny – wydźwięk jest dziś nieadekwatny, nawiązuje bowiem do zakładanego nieustającego konfliktu polsko-niemieckiego.

Szydłowska jako zamiennik skompromitowanego pojęcia Ziem Odzyskanych proponuje „pojałtański Okcydent”, który miałby nieść też pewną treść kulturową w przeciwieństwie do pozornie neutralnych, geograficznie zdeterminowanych „Ziem Zachodnich i Północnych”. Okcydent w tym ujęciu oznacza kulturową kategorię Zachodu – powojennego przejścia tego co „poniemieckie”, włącznie z obcym, „zachodnim” wzorem kulturowym zastanym przez przybyszy; byłaby to zatem zmetaforyzowana, poznawcza konceptualizacja przestrzeni. Określenie to, zdaniem autorki, uprawomocniał również powojenny uzus językowy – choćby w wyrażeniach „jedziemy na Zachód”, „urządzić się na Zachodzie” i tym podobne. Badaczka odżegnuje się jednak od użycia pojęcia „okcydentalizm”, które przypisane jest kulturowej fascynacji Europą Zachodnią, cechującej szczególnie ruch społeczno-polityczny w XIX-wiecznej Rosji. Nie wdając się w szerszą polemikę, muszę jednak zwrócić uwagę na kilka ułomności tej oryginalnej próby odejścia od zideologizowanych Ziem Odzyskanych, słusznie w pracy postrzeganych jako manipulacja retoryką powrotu. Analogicznie do Okcydentu, trudno byłoby się posłużyć określeniem Orientu w odniesieniu do Kresów Wschodnich (najbliżej ziem polskich orientalne mogły być co najwyżej stepy akermańskie opisywane przez Mickiewicza), nie mówiąc o orientalizmie, chyba że w sensie przyjętym we współczesnym postkolonializmie.

Propozycja Szydłowskiej mogłaby być do przyjęcia w kulturowym opisie badawczym przejętych ziem, gdyby nie to, że jest kompletnie niezrozumiała dla kogoś z zewnątrz. Dla obcokrajowców, w tym na przykład dla sąsiadów zza Odry zajmujących się badaniem historii polsko--niemieckiej, „pojałtański Zachód” wybrzmiewa raczej politycznie i oznacza oczywiście tę część Europy, która po wojnie znalazła się po jednej ze stron żelaznej kurtyny, a na pewno nie utracone *Deutsche Ostmarken!* Ponadto poczucie kulturowego „Zachodu” było obecne przede wszystkim w pokoleniu przesiedleńców, natomiast dla ludzi urodzonych i wychowanych na ziemiach ponemieckich ów „Zachód” był nie „tu”, na Ziemiach Odzyskanych, lecz raczej na faktycznym Zachodzie, i nie w zaodrzańskiej NRD, ale w RFN (czyli znowu odnosił się do pojałtańskiej żelaznej kurtyny). A przecież książka Szydłowskiej dotyczy całego okresu rządów komunistycznych. Mam wrażenie, że powojenne samopoczucie Polaków lepiej określił jeden z bohaterów Mrożka, który tak identyfikował swe kulturowo-geograficzne niedookreślenie: „Pochodzę z kraju położonego na wschód od Zachodu i na zachód od Wschodu”. I taki chyba status miały nowe polskie ziemie: będąc byłyymi kresami wschodnimi Niemiec, stały się polskimi kresami zachodnimi, sprezentowanymi i gwarantowanymi przez wschodniego radzieckiego hegemonia, z pilnie strzeżoną granicą na Odrze, która oddzielała nas od drugich gorliwych strażników komunizmu – wschodnich Niemiec.

Z kolei główne, tytułowe określenie książki Halickiej zastępujące „Ziemie Odzyskane”, czyli „Dziki Zachód”, wielokrotnie w tej pracy używane, niewątpliwie funkcjonowało w PRL-u, choć oczywiście w obiegu popularnym, a nie w oficjalnym. Trudno jednak stwierdzić jak dalece rzeczywiście nazwę tę stosowano w pierwszych latach powojennych – jedynym bowiem źródłem, na które autorka się powołuje, legitymując użycie tego określenia w pracy, jest współczesna amatorska recenzja filmu z 1964 roku w reżyserii Jerzego Hoffmana pod tytułem *Prawo i pięść* umieszczona w internetowym

portalu filmowym⁷. Należy też pamiętać, że sformułowanie „polski Dzikie Zachód” odnieszono niegdyś także do Bieszczad, co zakłóca efektowny koncept nazewnictwa niemiecko-polskiej badaczki.

Pozostawiając tę nieoficjalną nazwę ziem poniemieckich, przyjrzyjmy się drugiemu kluczowemu terminowi pracy Halickiej – „Nadodrzu”. To pojęcie autorka zdaje się traktować jako dość oczywiste, zaznaczając jedynie, że „co się tyczy terenu badań, wybór padł na środkowy i dolny bieg Odry, ponieważ jako krajobraz reprezentują one wszystkie cechy «Polskiego Dzikiego Zachodu»”, i dopowiadając dalej, że chodzi o tereny „Dolnego Śląska, wschodniej Brandenburgii oraz Pomorza”⁸. W tym wyliczeniu badaczka unika użycia nazwy Ziemia Lubuska („wschodnia Brandenburgia”), która była ideologicznym tworem w ramach mitu piastowskiego, naprędce stworzonym i propagowanym po 1945 roku (pokrywającym się z historyczną ziemią lubuską tylko w niewielkim stopniu), choć dalej w książce kilkakrotnie się zdarzyło, że po nią jednak sięgnęła. Wątpliwość budzi co innego – czy położenie w rozległym dorzeczu Odry wystarczy, by nazwać pewne regiony Nadodrziem? Na przykład usytuowanie Gorzowa Wielkopolskiego nad Wartą skłaniało niegdyś do nazywania tego regionu Nadwarciem. Albo: Halicka w rozdziale trzecim opisuje twórczość Henryka Worcella traktującą o podgórskich rejonach w Kotlinie Kłodzkiej, gdzie w linii prostej ze wsi, w której się osiedlił i którą ten autor opisuje, do Odry jest ponad 70 kilometrów, co nie wadzi, by badaczka tę wieś nazwała „nadodrzańskimi okolicami”, zauważając również, że autor nie poczuwał się do „trzymania straży nad Odrą”. Co wspólnego z Odrą ma częstokroć w rozprawie przywoływane Darłowo czy Słupsk, leżące na Pomorzu Środkowym? Co więcej, w ostatnim rozdziale Halicka opisuje powieść dziejącą się między innymi na Warmii i Mazurach (choć to ewidentna pomyłka rozpoznania lokacji akcji utworu przez autorkę)!

Kwestie nadal nieobecne

W przypadku tak obszernej problematyki poruszanej w omawianych publikacjach nietrudno znaleźć różnego rodzaju luki, przeoczenia czy niedostatki informacyjne. Chciałbym jednak wskazać na pewne wątki zasadnicze dla problematyki Ziem Odzyskanych, a nieobecne lub tylko zasygnalizowane w omawianych pracach, choć zarazem trudno żądać od autorów, by się nimi zajęli szerzej – wymagałoby to znaczącego przeorientowania badań. Jest to zatem raczej postulat na przyszłość.

Nie wdając się, z braku miejsca, w rozważania metodologiczne, żałuję, że w pracach dotyczących ziem poniemieckich nie pojawia się szersza inspiracja badaniami postkolonialnymi – w Polsce rozpowszechnionymi przede wszystkim w odniesieniu do Kresów Wschodnich (głównie za sprawą inspiracji pracami Ewy Thompson i Daniela Beauvois) i dość zaniedbanymi, jeśli chodzi o Kresy Zachodnie. W przypadku omawianych tu publikacji, przyjmujących optykę rewizjonizmu badawczego i traktujących wszak o swoistej kulturowej kolonizacji terytoriów przyłączonych do Polski,

⁷ Zob. B. Halicka, *Polski Dzikie Zachód...*, op. cit., s. 12. Określenie to pojawi się dalej dwukrotnie w materiale źródłowym – wspomnieniach osadników, ale powstałych znacznie później (s. 198 i 222).

⁸ Ibidem, s. 15.

będącej zresztą reakcją na projekt kolonizacyjny w wydaniu bismarckowskim czy hitlerowskim, ta metoda mogłaby stanowić scalającą płaszczyznę badawczą wobec bardzo różnych impulsów pochodzących z różnych obszarów dziedzinowych. Tym bardziej że ich autorki obszernie odnoszą się również do problematyki pamięci kulturowej Kresów Wschodnich. Co prawda Szydłowska zwraca uwagę na ten problem, niestety nie podejmuje jednak szerzej tego typu inspiracji metodologicznych; w książce Halickiej kwestia ta została zupełnie pominięta.

Cezury inicjalne występujące w obu monografiach wydają się oczywiste – rok 1945 to koniec wojny, oficjalne włączenie niemieckich ziem wschodnich w nowe granice Polski i początek zasiedlania tych terytoriów, połączone z intensywną akcją propagandową. Jednak zarówno w tych publikacjach, jak i w wielu innych (oraz w potocznej świadomości Polaków) niemal nie występują przedwojenne źródła i tradycje przygotowujące ideologicznie powojenny mit „odzyskania”. Tymczasem przyjrawszy się uważniej, można wręcz mówić o konkretnej kontynuacji ideowej – koniec wojny oznaczał tylko nowy etap dawnej tak zwanej idei zachodniej, obecnej w myśli politycznej różnych środowisk, ale rozwijanej przede wszystkim przez narodowców, a po wojnie przejętej przez komunistów. Politycznie tak zwana myśl zachodnia zaczęła funkcjonować szerzej z końcem wieku XIX w środowisku ruchu narodowego, szczególnie za sprawą Jana Ludwika Popławskiego, i stała się znakiem rozpoznawczym tej opcji politycznej w międzywojniu, także w koncepcjach Romana Dmowskiego. „Idea zachodnia” oznaczała przede wszystkim mit ideowo-polityczny uzasadniający przesunięcie granic Polski na zachód oraz ideę państwa monoetnicznego, opierającą się na historycznej koncepcji piastowskiej i wypierającą piłsudczykowską wschodnią, wieloetniczną ideę jagiellońską. Intensywne prace wielu orientacji politycznych w czasie wojny przygotowały grunt pod to, aby w nowej powojennej rzeczywistości idea „ziem postulowanych” stała się częścią obowiązującej ideologii państwowej. Także po wojnie narodowcy, katolicy i antykomuniści podjęli współpracę na tym „froncie ideologicznym” z komunistami, w końcu powojenna Polska jawiła się jako spełnione marzenie endecka – państwo jednonarodowe ze skolonizowanymi ziemiami zachodnimi. W związku z tym nowe granice miały autentyczne poparcie społeczne, o czym świadczy choćby głosowanie w uwierzytelniającym nową władzę sfałszowanym referendum z czerwca 1946 roku – pytanie o nie zyskało rzeczywistą większość głosów jako jedyna z rozpatrywanych wówczas trzech kwestii. Komuniści dość szybko przejęli dawną ideę endecką jako jeden z elementów legitymizacji swej władzy po wojnie, obwieszczając się realizatorami „testamentu Piastów”. Te przedwojenne korzenie nacjonalizmu komunistycznego są nadal dość słabo znane i niemal nieobecne w omawianych rozprawach⁹. Mit ideologiczny Ziem Odzyskanych przypisany został w obu książkach jednak głównie komunistom, co zresztą w jakimś stopniu świadczy o skuteczności ich powojennej propagandy.

⁹ Poza pracami o charakterze przyczynkowym temat ten omawia w swej książce M. Zaremba, *Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm. Nacjonalistyczna legitymizacja władzy komunistycznej w Polsce*, Warszawa 2001; zob. również: P. Madajczyk, *Polska myśl zachodnia w polityce komunistów polskich*, „Przegląd Zachodni” 3/1997. Sama polska „myśl zachodnia” posiada znaczną bibliografię – w ostatnich latach ukazał się obszerny tom zbiorowy: M. Semczyszyn, T. Sikorski, A. Wątor (red.), *Nad Odrą i Bałtykiem. Myśl zachodnia: twórcy – koncepcje – realizacja do 1989 r.*, Szczecin 2013.

Słabo zbadanym tematem w propagowaniu ideologii Ziemi Odzyskanych pozostaje również rola Kościoła katolickiego i korzyści dla niego z tego wynikające. Relacja władza komunistyczna – Kościół przedstawiana jest zwykle jako nieustanny konflikt przybierający często brutalną formę. Nieliczne analizy krytyczne początków administracji kościelnej na ziemiach poniemieckich wskazują jednak na fakt swoistej symbiozy ideologicznej z władzą, wynikającej po części z koniunkturalizmu, ale zapewne także z powodu autentycznej zbieżności poglądów – wspólną platformą była przecież wspomniana wcześniej idea narodowa o przedwojennych korzeniach. Zapewne też nie tyle było to pomocnictwo Kościoła w „utrwalaniu władzy ludowej”, ile raczej dążenie do dwuwładzy, dzięki wykorzystaniu tej samej ideologii w walce o „rząd dusz”, tym bardziej że komunistyczny (w wersji radzieckiej) los Polski w pierwszych latach powojennych nie wydawał się przesądzony. Można też zapewne mówić o obopólnych korzyściach w tamtym okresie, pragmatyzm nakazywał współpracę w arcytrudnym procesie szybkiego zasiedlania nowych terytoriów – z punktu widzenia władzy poparcie Kościoła ułatwiało „repolonizację” nowych terenów, ze strony Kościoła katolickiego liczone na późniejsze utrzymanie ukształtowanego po wojnie status quo, szczególnie w związku z oporem Watykanu, aby uznać polskość tych ziem. Długo jeszcze administracja kościelna na terenach poniemieckich miała charakter tymczasowy – ustanowienie i tym samym potwierdzenie przez najwyższe władze watykańskie nowej struktury diecezjalnej nastąpiło dopiero z początkiem lat 70., po uznaniu polskiej granicy zachodniej przez RFN. Przykłady wspólnoty ideowej władzy i Kościoła wobec ziem poniemieckich są liczne – można je odnaleźć nie tylko w działaniach i wypowiedziach tak zwanych księży patriotów, ale również między innymi prymasa Stefana Wyszyńskiego czy biskupa szczecińsko-kamińskiego Kazimierza Majdańskiego.

Sojusz tronu z ołtarzem na ziemiach zachodnich po 1989 roku tylko się zacieśnił czy też – inaczej – przybrał bardziej przyziemny (dosłownie) charakter: już od 1991 roku przekazywano Kościołowi katolickiemu grunty rolne na ziemiach poniemieckich jako rekompensatę za mienie utracone na Kresach Wschodnich. Proceder ten został poszerzony przez zezwolenie w 2006 roku przez ówczesny rząd w osobie ministra Ziobry i wicepremiera Dorna na „odzyskiwanie” od państwa na rzecz Kościoła katolickiego przez specjalną Komisję Majątkową przedwojennych niemieckich dóbr kościelnych (tym samym znosząc decyzję Sądu Najwyższego z 1959 roku), podobnie jak w przypadku rekompensat za dobra utracone w okresie PRL-u w pozostałej części kraju.

Ziemie Odzyskane – recykling?

Od początku lat 90. zeszłego wieku następowało osvajanie niemieckiej przeszłości, między innymi za sprawą polskiej literatury małych ojczyzn, która ukazywała palimpsestową pamięć kulturową regionów przyłączonych po wojnie do Polski. Co ważne, rolę taką odgrywała też wybitna literatura niemiecka z kręgu *Heimatliteratur*, powstała w imię pojednania, a nie konfrontacji, i wydawana już w okresie PRL-u, między innymi autorstwa Günтера Grassa, Siegfrieda Lenza czy Christy Wolf. Otwarcie granic umożliwiło też bezpośrednie kontakty z niemieckimi wysiedleńcami na poziomie lokalnym i stopniową likwidację wcześniejszych uprzedzeń. Cały czas

jednak funkcjonowały w Polsce środowiska polityczne, które szczególnie w rozgrywce o władzę nie wahały się podejmować retoryki antyniemieckiej w tym stylu, który cechował mit ideologiczny Ziemi Odzyskanych: to między innymi słynny „dziadek z Wehrmachtu” w kampanii prezydenckiej, podnoszenie kwestii reparacji za zniszczenia wojenne, etykietowanie „zakamuflowaną opcją niemiecką” czy „folksdojczami”, wskazywanie na wewnętrzną „piątą kolumnę”, co w Polsce ma jednoznaczne niemieckie konotacje historyczne, czy poszukiwanie na gwałt wrogiego Obcego, wobec którego mogłaby się określać narodowa tożsamość. Z braku Żydów i Niemców stali się nimi ostatnio imigranci, roznoszący choroby podobnie jak niegdyś Żydzi, jak głosił Jarosław Kaczyński w zeszlórocznym wystąpieniu sejmowym. Standardowe od dziesięcioleci pozostaje straszenie niemieckimi rewanżystami i rewizjonistami, czyli najpierw towarzystwami ziomkowskimi, a następnie – po ich zjednoczeniu – Związkiem Wypędzonych: w PRL-u symbolami niemieckiego rewanżyzmu stali się słynni polakożercy Hupka i Czaja (notabene zasłużeni po 1989 roku dla pojednania polsko-niemieckiego). Znamiennym majstersztykiem reaktywacji antyniemieckiej retoryki było orędzie prezydenta Lecha Kaczyńskiego z 2008 roku w sprawie traktatu lizbońskiego. Głowa państwa, na tle muzyki z popularnego serialu *Polskie drogi*, traktującego wszak o niemieckiej okupacji, przestrzegała przed rzekomymi roszczeniami Związku Wypędzonych, co ilustrowały przebitki z Eriką Steinbach, która w tym czasie zastąpiła w roli demonicznego charakteru Hupkę i Czaję; przedstawiono także prezentację postarzonej mapy w domyśle ilustrującej pretensje terytorialne Niemców (wykorzystano mapę do dziś publikowaną przez Związek Wypędzonych, przedstawiającą zasiedlenie Środkowej Europy przez ludność niemiecką w latach 30. XX wieku). Następnie prezydent płynnie przeszedł do groźby wymuszenia na Polsce przez Unię Europejską akceptacji małżeństw homoseksualnych (czyżby chodziło o *Drang nach Osten* niemieckich gejów, budzących zgorznienie „prawdziwych Polaków” paradami w Berlinie?!).

Bezpośredniego powrotu w retoryce politycznej do ideologii Ziemi Odzyskanych zapewne nie będzie. Mam jednak wrażenie, że obserwujemy obecnie proces montażu nowej mitologii ideowej, sięgającej – z różnych powodów i w różny sposób – do PRL-owskiego lamusa w celu stworzenia współczesnej koncepcji nacjonalistycznego patriotyzmu. Problem władzy polega na tym, że społeczeństwo na polskich ziemiach zachodnich już nie jest tak podatne na tego typu propagandę, wszak odczarowywanie mitów ideologicznych PRL-u, w tym Ziemi Odzyskanych, trwa przynajmniej ćwierć wieku. W wyniku wysiłków edukacyjnych (edukacja regionalna, transgraniczne projekty, w tym polsko-niemieckie szkoły i przedszkola itp.) i choćby otwarcia granicy, a przede wszystkim kulturowego oswojenia tej przestrzeni pogranicznej nie jest to już nośna idea na ziemiach zachodnich, ale w pozostałej części kraju hasła tego typu mogą nadal padać na podatny grunt. Jednak młodą część społeczeństwa terytoriów zachodnich można spróbować odpowiednio ukształtować – w ramach stosownej edukacji patriotycznej i religijnej, co z pewnością czeka nas, jak myślę, już w najbliższym czasie... |